

# KAMENY

LUBLIN

15.XII.1961

Nr 23 (237)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Kielce • Białystok • Rzeszów • Jak pracował autor „Lalki”? • Z poezji amerykańskiej • Żurnale mąd poetyckich • Dokola teatru • 0 premierze „Kolegi” • Pejzaż z piecem • Po zjeździe literatów • I in.

### Z przemówienia przewodniczącego PWRN w Lublinie posła na Sejm mgr Pawła Dąbka w dniu 3.XII b. r. na otwarciu Muzeum B. Prusa w Nałęczowie

**D**ZIEN dzisiaj, dzień otwarcia Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie, jest dniem specjalnie uroczystym. Otwarcie jeszcze jednej placówki kulturalnej na terenie naszego województwa — to jeden z faktów realizacji planu obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego na Lubelszczyźnie. Fakt ten daje okazję do spojrzenia na dwa zagadnienia: na sprawę tworzenia placówek muzealnych i sprawę opieki nad zabytkami, jaką nad nimi rozstraca państwo.

Obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego, mające za zadanie wydobyć tysiącletni dorobek naszego narodu w związku z jego postępowymi tradycjami, otwierają szerokie perspektywy przed licznymi pracami i poczynaniami tak w dziedzinie badań naukowych, jak i ich popularyzacji. Sprzyjają one wybitnie sięganiu do różnorodnych źródeł naszej historii, gromadzeniu faktów i spostrzeżeń, głębszemu ujmowaniu naszych dziejów poprzez nowe naświetlenie historii regionów, miast, ludzi i wydarzeń.

Do prac przystąpili naukowcy z różnych dziedzin: archeolodzy i historycy, filologowie, architekci i historycy sztuki, przystąpili bibliotekarze i działacze społeczni. Już dziś możemy mówić o nowych odkryciach dokumentujących bogatą przeszłość Lubelszczyzny. Oto konkretne przykłady.

Po badaniach archeologicznych ostatnich lat grodzisko w Chodliku, w powiecie opolskim, ujawniło swój kształt wielkiego zespołu osadniczego z IX wieku.

Badania archeologiczne prowadzone w Strzyżowie, w powiecie hrubieszowskim, pozwalają stwierdzić, że na terenach nieoziornych dziś wioski nad Bugiem przed 3 tysiącami lat znajdowała się duża osada i że osadnictwo na tym terenie istniało nieprzerwanie do XVII wieku.

Na wzgórzu Czarna w Lublinie odsłonięto zarys osady z VIII-IX wieku, co uzupełnia i podbudowuje w zasadniczy sposób teoretyczne stwierdzenie tysiącletniej przeszłości miasta.

Historycy lubelscy publikują rezultaty swych szeroko zakrojonych prac badawczych w książkach i periodykach. Szczególnie ważne rolę spełnia w tym zakresie „Rocznik Lubelski”, organ Polskiego Towarzystwa Historycznego, który zaktualizował polcezerstwo z wynikami badań nad Lubelszczyzną, prowadzonych przez młodzież i badaczy młodszej generacji.

Z opracowań tych dowiadujemy się nie tylko o tym, jak kształtowała się wieś lubelska w XIV wieku, ale i o tym, jakie były dzieje Rady Delegatów Robotniczych w 1918 roku.

Bogata przeszłość Lubelszczyzny znajdzie wymowny wyraz w powstającym ostatnio dziele historycznym Muzeum Lubelskiego.

Wystawa „Ruch oporu na Lubelszczyźnie”, której otwarcie przewiduje się w lipcu 1962 roku na obchody

20-lecia PPR, nawiązuje do najnowszych badań historyków, powstaje przy ścisłej z nimi współpracy.

Obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego powodują znaczny rozwój i aktywizację środowiska kulturalno-twórczego.

Rozwija się sieć bibliotek, wzrasta

Wymieńmy tu choćby najważniejsze przykłady, jak: pałace w Lubartowie i w Radzynie Podlaskim, bóżnice w Szczebrzeszynie, Modliborzycach i Zamościu, oficyna pałacowa w Zawieprzycach...

Ostatnio odbudowano pałac Małachowskich w Nałęczowie, jeden z nie-



Przewodniczący PWRN mgr Paweł Dąbka, prof. Feliks Araszkiewicz i dyr. Muzeum Lubelskiego mgr Irena Iskrzycka.

liczebność księgozbiorów, wielką popularnością cieszy się literatura regionalna.

Ilość tej literatury pokaźnie wzrasta. Ukazują się monografie i opracowania: „Z przeszłości Ziemi Lukowskiej”, „Ziemia Chełmska”, „Powiat radzyński”, „Ziemia Lubartowska”. Przygotowane już do druku kilkanaście dalszych pozycji.

Ważną rolę w tym względzie spełniają liczne stowarzyszenia regionalistów, łączące zainteresowania przeszłością swego regionu z troską o jego poziom kulturalny i teraźniejszy stan i dalszy rozwój.

Na szczególne uwagę zasługują stowarzyszenia Ziemi Lubartowskiej, Ziemi Chełmskiej, Ziemi Puławskiej, Ziemi Lukowskiej, Hrubieszowskiej.

**Z**PROWADZONYMI na wielką skalę badaniami przeszłości wiążą się również prace przez państwo szerokim frontem odbudowa obiektów zabytkowych.

Odbudowanym obiektom zabytkowym przywraca się dawny wygląd, pierwotną świetność i oddaje się je w służbę całego społeczeństwa. W wielu z nich znalazły siedzibę władze administracyjne, placówki kulturalne i oświatowe.

licznych w Polsce w tym stylu, ocalonych po działaniach wojennych. Pałac ten, po okresie zmian i przekształceń, zabył znowu swymi najwyższymi walorami artystycznymi. Uświetnia go jeszcze bardziej umieszczenie w nim Muzeum Bolesława Prusa.

Do ważnych zadań stawianych sobie przez nas w okresie obchodów Tysiąclecia na Lubelszczyźnie należy m. in. rozwój sieci muzealnej.

Zamierzenia w tym zakresie są duże.

Już na rok przysięż planowane jest otwarcie Muzeum Józefa Ignacego Krasińskiego w Romanowie, w majątku rodzinny, gdzie wielki pisarz przebywał w okresie swego dzieciństwa.

Na Ziemi Lukowskiej odbudowany będzie dworek w Woli Okrzejskiej, miejsce urodzenia Henryka Sienkiewicza.

Praca tymi zajadają się w organizacji dalsze muzea w Łukowie i Lubartowie i innych miasteczkach.

Lubelszczyzna oczekuje wielkich ludzi, twórców kultury polskiej złączonych z Ziemią Lubelską.

Otwarcie w dniu dzisiejszym Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie

(Dokończenie na str. 3)

Jest to już trzeci numer „Kamenu”, do którego wprowadziliśmy materiały zawierające wiadomości o Białostocczyźnie. W niniejszym numerze znajdują Czytelnicy również kolumny poświęcone problemom Ziemi Kieleckiej, opracowane staraniem kielczan. Jednocześnie, zamieszczając dziś artykuł prof. Franciszka Kotuli z Rzeszowa o formach współdziałania czterech województw w dziedzinie muzealnictwa, realizujemy kontakty nawiązane z aktywnym kulturalnym Rzeszowszczyzny, który zapowiedział dostarczenie nam w najbliższym czasie materiałów do specjalnych kolumn rzeszowskich.

Rozwijamy taką sąsiedzką współpracę na łamach naszego dwutygodnika w przekonaniu, że spotka się ona z aprobatą środowisk kulturalnych całego regionu wschodniego i będzie in pomocna w naświetlaniu wspólnych problemów.

Redakcja

## W OBRONIE KOBIECY

SARA NOMBERG-PRZYTYK

**N**ie ma chyba dziedziny życia, w której byłoby tyle niedomówień, deklaracyjności, braku zrozumienia, nawarstwionych wiekami uprzedzeń i wynikających stąd półuśmiezków, jak w sprawach dotyczących kobiety. „Liga Kobiet, Międzynarodowy Dzień Kobiet, po co to wszystko u nas skoro Konstytucja PRL dała kobietom te same prawa co mężczyznom” — mówią jedni. I od razu żart: „Kiedy ustali się u nas dzień mężczyzny?” „Bez kobiet socjalizmu nie zbudujemy” — deklarują drudzy. A potem dyskretnie odmawiają im prawa do pracy i awansów, bo „wiedzą, że z babami — urlop macierzyński, choroba dzieci itp. kłopoty”. „Ale się baba rozgadała, popuścić im jeszcze trochę, to cię chłopie, do garnków i pieców zagonia. Jakies „Ludwiku do łodzi” wymyśliły, a ja im na to: „Irena do domu”.

Parafrazując znane powiedzenie Marksa o wolności narodu, wysunęlbym taką tezę: Nie może być wolny naród, w którym nie ma pełnej wolności dla kobiety.

A pełna wolność to nie tylko równoprawienie. To ochrona specyficznych praw kobiety, to stworzenie w środowisku takich warunków, w któ-

(Dokończenie na str. 2)



## Z przemówienia przewodniczącego PWRN w Lublinie posła na Sejm mgr Pawła Dąbka na otwarciu Muzeum B. Prusa w Nałęczowie

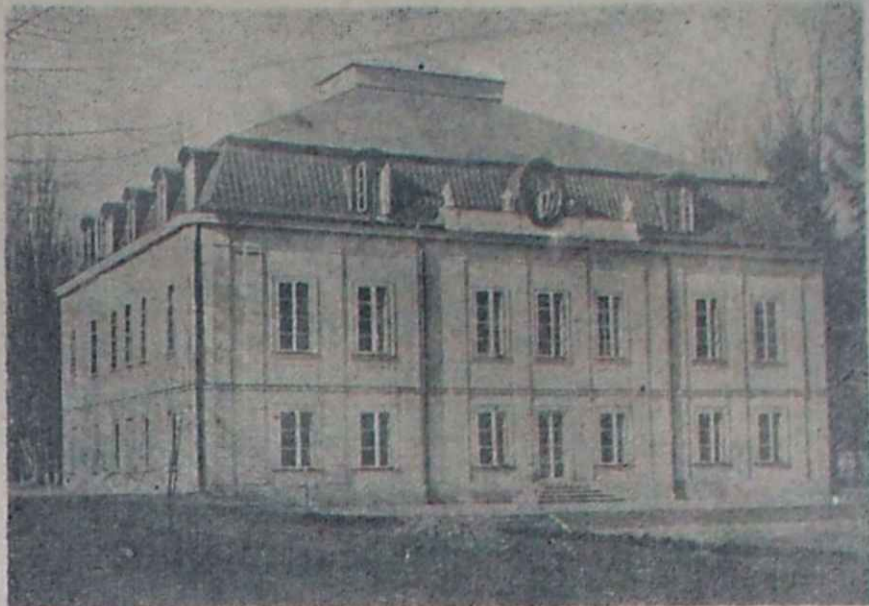
(Dokończenie ze str. 1)

— to złożenie hołdu wielkiemu pisarzowi, który jest drogi sercu każdego Polaka.

Nałęczów upodobał sobie Aleksander Głowacki — Bolesław Prus — specjalnie. Od roku 1882 przebywał tu, rekreacyjnie w letnich miesiącach. Nałęczów był dla niego nie tylko miejscem miłego wypoczynku, ale i intensywniej pracy. Zbierał tutaj i gromadził materiały z podnałęczowskich okolic i pisał dzieła o nieprzemijających wartościach.

W imieniu własnym i całego społeczeństwa składam podziękowanie inicjatorowi stworzenia Muzeum Prusa, profesorowi Feliksowi Araszkiewiczowi, za jego zasługi i wydatną pomoc w trosce o właściwą rangę tej placówki.

Słowa uznania należą się wszystkim, którzy sprawili to, że może ona chlubić się swymi zbiorami, wszystkim tak licznym ofiarodawcom dokumentów, pamiątek, — tym wszystkim, którzy przyczynili się do otwarcia Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie.



Odrestaurowany pałac Malachowskich, w którym znajduje się Muzeum Bolesława Prusa.

CO sprzyjało a co przeszkadzało twórczości? Wyróżnić tu należy dwie sytuacje: 1) pracę terminową łączącą się z twórczością kronikarską i 2) twórczość powieściopisarską. Pierwsza przynaglała do pośpiechu, gdyż niejednokrotnie same wypadki dnia narzucały się z taką bezwzględnością koniecznością, że autor zmuszał siebie do pracy. Jeśli natomiast na warsztacie literackim znalazły się utwory powieściowe, opowiadania czy nowele, Prus „zabierał się” do tego powoli, odkładał materiał, robił notatki, gromadził materiały, rozmyślał, a gdy był zmęczony pracą literacką, leżąc na kanapie wypoczywał z rękami założonymi pod głowę i... rozwiązywał zadania matematyczne. Gdy już nabral rozpedu, wówczas pisał spieszenie, po kilka godzin dziennie, a ra-

jak kamień ciałżyło nad moim głosem i wyobraźnią. W listach z podróży znajdujemy tego potwierdzenie, co krok bowiem czytamy w nich wzmianki o notatach robionych „na gorąco”, w parkach, muzeach, nawet na ulicach, jednym słowem Prus notuje pośpiesznie, jakby w obawie, że coś ważnego może się usunąć z kręgu pamięci czy świadomości.

Wieczorem, nieraz do późna w noc, autor porządkuje rzucone w ciągu dnia na papier skróty myśli, spostrzeżeń czy własnych refleksji.

Bo Prus nie był nigdy młodem literackim i np. w porównaniu z takim Balzakiem, prusowska pułczyna literacka wyda się skromna, ale za to w wątkach powieściowych nigdzie obrazu „żywołów łatwych” czy „ulawionego życia”. Wszędzie magania, wszędzie sprzeczności niejednokrotnie w samych bohaterach, co stawało się tym fatalniejsze, że tworząc powieść współczesną o charakterze społecznym, autor dotykał stosunków kryjących w sobie trudności i zawiłości ekonomiczne, obyczajowe, społeczne, a w następstwie tego i psychologiczne, niełatwe do zadowalającego rozwiązania. Z jednej strony poczucie uczelności i wrodzonego wstrętu do kłamstwa i wszelkich upiększeń czy pięknoduchostwa rozszerzało źrenice, które chciały dojrzeć „rzecz samą w sobie” — z drugiej zaś mocno bijące i współczujące serce czasem walczyć musiało, aby w autorze surowość i trzeźwe spojrzenie nie przeoczyły „blasków i nędz” życia małego czy wielkiego bohatera. Jakże łatwo w takim wypadku popełniając błąd optyczny stać się jednostronnym, a jak trudno być bezstronnym! Prus nie dał się zwieść swemu „dajmonionowi”, trzymał się na wędzy, kierował rozumem i nie wstydził się swych drobnych pomyłek. Twarda szkoła młodości, wczesne usamodzielnienie się, walka o utrzymanie się na powierzchni życia umysłowego i kulturalnego, wreszcie rozmówienie w naukach matematycznych — sprawiły, że w Prusie, potomku szlacheckiego oficjalisty, dziedzinie obciążonym grzechem lenistwa narodowego, nie przejawiała się nigdy owa „improductivité slave”, tak świetnie zachwycana w jego typach powieściowych i nowelistycznych. Wyzwolił się i sam wydzwigał, a nawet zdecydował o sobie biorąc udział w powstaniu i może już od tej chwili zaczął wypracowywać własny charakter, później dopiero rozwinął się wspaniale jego intelekt. Dalsze koleje życia szlifowały coraz ostrzej ten szlachetny granit, w którym dojrzałość męska wykule szlachetne, tak dobre nam znane rysy. Gdyby utalentowanej jednostce, jaką był Prus, nie stawiano przeszkód, gdyby jako młodziwiec i literat debiutujący nie znalazł był komplikacji życiowych (sprawa małżeństwa z p. Oktawią Trembińską<sup>1)</sup> może nie byłby się wybił<sup>2)</sup>, pogodzony z losem zostałby kronikarzem piszącym sążniste epistoły lub co najwyżej pracowitym i sumiennym do granic osłatecznych księgowym, ale nie byłby to Prus, którego znamy<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Pisownia zachowana według autografów.

<sup>2)</sup> List do przyszłej żony z dnia 17 lipca 1872 r.

<sup>3)</sup> Na podstawie osobistych rozmów z p. O. Głowacką.

<sup>4)</sup> Fragment pracy pt. „Mój Prus”.

## JAK PRACOWAŁ AUTOR „LALKI”?

HELENA PORĘBSKA

czaj nocą w kłębach dymu z papierosów, aż do chwili, gdy za radą lekarza rzuciwszy palenie, przeszedł na cukierki. W ferworze pracy zapominał o czasie, nie lubił, by mu kto przeszkadzał, jedynie tylko pani Oktawia miała ten przywilej, że wolno jej było wejść do pokoju, gdzie pracował Prus. Kładła swe białe dłonie na skronie pana Aleksandra przypominając, że czas odpocząć. „Lalunia” tylko miała ten przywilej. Niewątpliwie, że klimat własnego domu, uporządkowany tryb życia, dobry nastrój — stanowiły zawsze podstawowe warunki dla pracy twórczej autora „Kłopotów Babuni”. Jeśli tylko bujna Warszawa znużyła zbytnio pisarza uciekał do powszedniości, a czasem nawet i monotonności, nie obfitującego w zdarzenia Nałęczowa. Pan Aleksander, bystry i ruchliwy, w swej literackiej pracy mocno się opóźniał. Dopiero przetrawivszy materiał, jakby oczekując tego, co poeci zwą natchnieniem, wyrzucał z siebie nieraz gorąco i przemyślaną treść. Stąd w korespondencji czytało można takie wypowiedzi: „Zabiorę się do pisania” albo „Nie wiem, jak mi pójdzie”? „Czy mi się uda?” albo... „nareszcie po wielomiesięcznym wypoczynku, rozmyśleniach, planowaniach, odrzuceniu tematów itp. zacząłem dziś pisać kronikę... albo jeszcze inne: „Chwała Bogu, napisałem kronikę, po półrocznym próżniactwie”. „Aż trucheje, na myśl o tem”. (Z listów do żony). Jak z tego widać, upływały tygodnie, a nawet miesiące, zanim spod pióra wyszedł artykuł, jaki posiadamy dziś, utrwalały drukiem.

Chadzał wtedy zazwyczaj na ulubione spacerki, dumał, układał, notował, po czym dopiero z luźnych fragmentów logicznie spójnych jedną myślą przewodnią — zrzucał z siebie coś, co

## ZNAŁAM PRUSA

ZOFIA  
GUZOWSKA



*A. Głowacki*

Stałym miejscem zamieszkania Prusa była, jak wiadomo Warszawa, ale większą część roku spędzał w Nałęczowie pod Lublinem, pięknej miejscowości uzdrowiskowej, gdzie zajmował małą, 2-pokojową oficynkę w ślicznym ogrodzie przy willi pp. Raciborskich w Alei Lipowej. Prus bowiem, kiedy go poznałam, tak mniej więcej około roku 1894, chociaż cieszył się już sławą wielkiego pisarza, nie był bynajmniej człowiekiem zaможnym i dopiero „Faraon” dał mu z czasem pewien dobrobyt.

Otóż w tym właśnie Nałęczowie, o którym Prus kiedyś powiedział: „Gdy myślę o Ojczyźnie, to widzę Nałęczów” — poznałam osobiście tego wielkiego pisarza i przemilego, niezwyklej dobroci człowieka.

Miałam wtedy 15 a może 16 lat. Co prawda znajomość nasza ograniczała się na razie tylko do wymiany uprzejmych ukłonów. Z daleka, z wielką ciekawością obserwowałam laweczkę w parku naprzeciwko Zakładu Hydropatycznego i usiłowałam podsłuchać chociaż urywków bardzo ożywionych dyskusji politycznych, które Dziadek mój Antoni Michalski toczył z Prusem, Dyr. Zakładu Drem Konradem Chmielewskim, administratorem Morzyckim (ojcem znanej literatki Faustyny) oraz Drem Wacławem Lasockim, kreśląc z wielkim ferworem laską na piasku mapę Europy.

Wszyscy ci panowie — byli to zesłańcy — Sybiry, weterani styc-

niowego powstania. Jeden z nich, Dr. Lasocki, skazany na karę śmierci i ulaskawiony pod szubienicą, długie lata spędził w katorżce na Syberii, dołączył towarzyszyła mu dobrowolnie młodzianka wówczas jego żona, bardzo wątłego zdrowia, zarabiając na życie praniem (w przerebli) bielizny współwięźniów. Wtedy, za czasów mej młodości, oboje pp. Lasoccy już szczęśliwie powrócili z wygnania i mieszkali w Nałęczowie w pięknym pałacu Malachowskich.

Rozmowy, które godzinami toczyły się na tej samej zawsze ulubionej lawce, były nieraz bardzo ożywione, — ba! kłóciono się nawet zawzięcie, ale jakoś kończyło się wszystko pogodnie, starszycy rozchodzili się w najzupelniejszej harmonii, by nazajutrz rozpocząć na nowo nigdy nie kończące się dyskusje.

Och, jakże zazdrościłam Dziadkiem tych posiedzeń, z jaką rozkoszą chciałabym w nich brać udział, porozmawiać z Prusem, poznać jego poglądy na różne interesujące mnie problemy, omówić z autorem jego książki...

Drobny, niepozorny, skromnie ubrany, właściwie nieładny, z małą bródką, w czarnych okularach — wydawał się Prus moim oczom podlotka bardzo już „starszym panem”, choć miał wówczas, jak to obecnie obliczyłam, lat zaledwie pięćdziesiąt!

(Dokończenie na str. 4)



# KIELECKIE • KIELECKIE

**W** „L.HUMANITE” z 10 listopada br. wyczytałem wzmiankę, iż w regionie kieleckim odkopano mamuta w doskonałym stanie. Po kilku datach tę samą wiadomość podały inne pisma zagraniczne. Żeby było ciekawiej dodano, że mamut wyładował jak żywy, że odnaleziono go (uż na peryferiach miasta Kielce, że tłumy kielczan wędrują codziennie, by obejrzeć sobie ten niezwykły okaz, że przeszkadzają uczonym, którzy są na tropie innych mamutów i w ogóle. Być może, że jakaś gazeta prowincjonalna poinformowała swoich czytelników, iż w Kielcach odnaleziono kilka tysięcy doskonale zakonserwowanych mamutów. Nie zdziwił się, jeśli wiadomość taka przeczytałem za kilka tygodni w jakimś piśmie obcojęzycznym.

Zaczęłam intensywnie rozmyślać o mamutach, o Kielcach, o naszym regionie.

A więc czy w Kielcach są mamuty? Odpowiedź musi być złożona. Nie można tak jednym zdaniem, szast-prast.

W roku 1960/61 Kielce uchodziły w oczach turysty za miasto artystów. Na głównej ulicy dwie kawiarnie i kluby i to vis à vis. Jedna pozostająca w

potrafisz być wielkim, ergo jesteś nierzadkim. Cóż wart jest człowiek, który nie pielęgnuje głęboko w sercu idei Judyma, który nie umie zadumać się nad przyszłością Nagłowic, Czałolasu, Niegosławic, Strawczyzna, lub Ciekot.

Stąd głębszy niż gdzie indziej konflikt między starym a młodym pokoleniem tego regionu. Stąd ucieczka do innych regionów. Zapytajcie ludzi piastujących dziś różne odpowiedzialne stanowiska w kraju: skąd pochodzą? Niemal połowa wywodzi się z Kielecczyny, że już nie wspomnę o Radomiu sensu stricto. Wiadomo bowiem, że trzecia część wszystkich mądrych i uczonych ludzi w kraju urodziła się i wychowała w tym pięknym pono przez wszystkich zapoznanym mieście. Rzecz nie do wiary: sto dwadzieścia z górą tysięcy mieszkańców, tradycje i ambicje, że ho, ho, i zaledwie powiatowe miasteczko. W

## O MAMUTACH

WALDEMAR BABINICZ

gestii SPATIF-u, druga Związku Dziennikarzy. Innych lokali tego typu aż do listopada 1961 r. w Kielcach nie było. Nie więc dziwnego, iż miasto mogło uchodzić za gród aktorów, plastyków, pisarzy, dziennikarzy. Inni zwyczajnie pijali kawę w Delikatesach, „na stojaka”. Też nieźle.

Ale w mieście, w starym wojewódzkim mieście nie ma Międzynarodowego Klubu Książki i Prasy. Owszem ciągły są i nawet od dawna, dyskusja nad uruchomieniem takiego klubu trwa bodaj od czterech lat. I nic. Za to są neony i wkopano jeden słup oświetleniowy dla ruchu kołowego. Są i lustra, piękne, ogromne, również dla wygody kierowców. I nikt tych luster nie rozbiła. Świetnie funkcjonują.

Czy są w Kielcach twórcy i artyści? Są oczywiście. Plastyków niemało, wielu zdolnych, znanych w kraju. Nie ma jednak okręgu Związku Plastyków. Coś tam w stolicy komuś nie odpowiada. Beznadziejna walka o okręg trwa od wielu lat. Plastycy są oczywiście głęboko przekonani, że utworzenie okręgu kieleckiego postawi natychmiast sprawę na właściwym poziomie. Marzą więc o okręgowych władzach i zacierają zziębnięte ręce w prowizorycznych pracowniach.

Pisarze? Jeden członek Związku Literatów w samych Kielcach i dwóch - trzech na niższych szczeblach. Był ongiś, ale wywedrował do stolicy, do Krakowa. Nie można więc uruchomić w Kielcach oddziału Związku Literatów z powodu braku takowych w ilości przewidzianej statutem.

Są jednak aktorzy i dziennikarze. Stąd dwa kluby, dwie kawiarnie, dwa ośrodki kulturalne, w których wygłaszane są prelekcje, toczą się dyskusje, organizowane są imprezy. Oba kluby zaludniają gęsto lekarze, prawnicy i emeryci, którzy najchętniej grają w szachy. Przed wojną Kielce uchodziły za miasto urzędników i emerytów. Urzędnikom przybyła w sukurs inteligencja techniczna, emerytów usiłuje zaćmić młodzież, która nie dotarła do wyższych uczelni. Bo właśnie Kielce obchodzą piętnastolecie konsekwentnej, uporczywej walki o szkołę wyższą. Toczą się pertraktacje na bardzo wysokich szczeblach i dyskusje w obu klubach. Poza nimi również. W szkole im. Żeromskiego, w parku im. Żeromskiego, w kulturalnych teatrach im. Żeromskiego.

Zaden region w kraju nie jest tak szczerze obdarzony tradycjami, jak Kielecczyna. Obarczony także. No bo jeśli na tej ziemi tworzyli tacy koryfeusze, jak Rej, Jan z Czarnolasu, Dygasiński, Sienkiewicz, Żeromski, to skąd wziąć następców? Kto się waży być kontynuatorem przepięknej poezji Kochanowskiego i wspaniałej prozy Żeromskiego? Tradycja nie az onieśmiela ludzi, zwłaszcza jeśli pewne grupy żyją wyłącznie w jej aureoli podnoszą larum, gdy się ktoś waży szargać świętości.

Całe pokolenie cierpi na mikromanię. Jakże? Nie potrafimy wychować ani jednego Żeromskiego, ani jednego Kochanowskiego. Mali ludzie, marni zjadacze chleba, których nikt nie umie przemienić w anioły.

Twórcze i heroiczne tradycje Kielecczyny stworzyły w tym regionie specyficzny klimat wartościowania ludzi kryteriami nadprzeciętności. Nie

hierarchii tych samych z przeproszeniem miast, co jakaś tam Woszczo-wa, jakiś tam Jędrzejów czy Pinczów.

Piękne tradycje pielęgnowane w miarę uszlachetniają oczywiście ludzi. Dlatego też nikt nie może uzalać się na brak judymizmu w naszym regionie, szczególnie wśród starszego pokolenia. Genealogia starszej inteligencji jest tu zupełnie prosta: wszyscy wychowali się w cieniu rodu, w atmosferze bezdomności lub nad Wierną Rzeką. Z wyjątkiem oczywiście tych, którzy studiowali żywoty Plutarcha lub słuchali złotoustych kaznodziejów gęsto zaludniających aż dwie diecezje kielecką i sandomierską.

Uproszczenia? Oczywiście. Nie zamierzam pisać rozprawki socjologicznej, aczkolwiek pokusa była wielka. Jakże. Też cierpię na przesost, — ambicji. Dwadzieścia lat pobytu w jednym tylko powiecie swoje robi, nie?

Co się tyczy poetów, rzeźbiarzy, plastyków, muzyków, oczywiście tych samorodnych, to wszyscy oni garną się do związków twórczych lub do szkół (średnia szkoła muzyczna wypełniona po brzegi i to zarówno ta w Kielcach, jak i w Radomiu). Młodzież poeci stworzyła grupę PONIDZIE i poczynają sobie wcale, wcale. Poza tym są skromni i dokształcają się jak nikt inny w naszej bogatej w tradycje Ziemi Kieleckiej. Mowa o humanistach, romanistów, inne szkoły, kursy, wieczorowe, tabeczne korespondencyjne aż się uginają od wypracowań technicznych, wytrwale, z uporem dokształcających się mężczyźni i kobiety. Wszyscy „chorują” na motoryzację i uzupełniają braki w wychowaniu ze skróconych podręczników demokratycznego savoir viv'e'u.

Olbrzymia armia młodych ludzi przeskoczyła lub właśnie przeskakuje z konia żywego na konia parowego. Wszystko co za tym idzie: zmiana obyczajów, tradycji, sposobu bycia, światopoglądu, budownictwa, stosunków sąsiedzkich dokonuje się po tym szalonym skoku. Proces ten trwa i trudno przewidzieć, kiedy będzie zakończony. Wiem z pewnością, że epilog tej swoistej recdukacji przyniesie wiele niespodzianek, uderzy w tradycje. Kto wie, może nawet tu i ówdzie zniszczy świetnie zakonserwowanego mamuta, nad którego wykopaniem w ciężkim znoju mozolili się nasi archeologowie.

Quod erat demonstrandum.



KIELCE — ZAMEK

rys. PIOTR WOLLENBERG

## ZMOWA?

ZBIGNIEW NOSAL

**R**ÓŻNE bywają z rozwojem kultury kłopoty. Jedni martwią się, że kulturalna pustynia, marazm, indolencja środowisk i takie tam rozmaite sytuacje, których określenia najlepiej poszukać w słowniku z obcymi wyrazami, inni znów cierpią z zupełnie odmiennych powodów. Na przykład u nas, w Kielecczynie. Zmora działalności bibliotek jest nie brak czytelników, lecz chroniczny brak książek. Wytworzyła się nawet dziwna trochę sytuacja — ilość książek w bibliotekach publicznych województwa, jest dużo mniejsza od przeciętnej ilości książek w podobnych bibliotekach w całym kraju, zaś liczba czytelników przewyższa przeciętną krajową.

Nie chciałbym zamęczać Was dokładnymi obliczeniami wyjaśniającymi, dlaczego to jest możliwe, pozostanę jedynie przy wnioskach wysnutych z przeglądania statystyk. Wprowadzę pewien mało oryginalny dowcipniś

utrzymuje, że istnieją trzy rodzaje kłamstwa: kłamstwo pospolite, przysięga i statystyka — wierzę jednak, że tym razem statystyka nie kłamie, bo po co?

Koń by się uśmieł! Po raz pierwszy biblioteki zamiast zabiegać o czytelnika, mogą sobie pozwolić na grymasy pod jego adresem. Nie pozwalają sobie, bo bibliotekarze to naród sprawie książki oddany, ale też nie mogą nic zrobić, jeśli komus przyjdzie nagle ochota na przeczytanie najnowszego bestsellera i nie tylko bestsellera. Nie ma! Nie ma też kredytów, czyli mówiąc ludzkim językiem, pieniędzy na zakup książek. Urzędnicy zresztą robią wszystko, aby tych pieniędzy było jeszcze mniej.

Niedawno opętany zubożną ideą oszczędzania Wydział Gospodarczo-Budżetowy, czy też odwrotnie: Budżetowo-Gospodarczy Miejskiej Rady Narodowej w Kielcach wykreślił, opierając się na czymś tam podobno poleceniu, całą sumę przeznaczoną na zakup książek dla Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki. Na szczęście wyszło jakieś zarządzenie i forszę Bibliotece przywrócono.

Oszczędzanie na funduszach przeznaczonych dla wzbogacenia bibliotecznych zbiorów nie jest wymysłem wspomnianego wyżej Wydziału. Tak oszczędzają wszyscy i wszędzie, chociaż właściciel rekord należy do Gromadzkiej Rady Narodowej w znanym ze swoich watorów turystycznych Bodzentynie.

Z myślą o decentralizacji i eksperymencie (są to dziś rzeczy bardzo modne) ustalono w powiecie, że bodzentynska biblioteka gromadzka będzie sobie sama kupować nowe książki za pieniądze przyznane jej przez Prezydium GRN. Eksperyment zawiódł troszeczkę. Biblioteka, w ciągu 9 miesięcy roku pańskiego 1961, zakupiła tylko... trzy książki. Albowiem Prezydium Gromadzkiej Rady uważało, że księgozbiór już istniejący wystarczy i nie ma sensu wydawać pieniędzy na nowe książki, jeśli pieniędzy w gromadzkiej kasie jest nie za wiele.

Podjęłam, że rady narodowe znówiły się i ograniczaniem funduszy na zakup książek chcą dowiedzieć, że to mało sensowny wydatek. Podjęłam, bo nie umiem sobie inaczej wytłumażyć dziwnych skłonności wszystkich rad narodowych do nieustannego skreślania funduszy bibliotecznych. Rezultaty są widoczne. W ubiegłym roku na 100 mieszkańców w województwie zakupiono tylko osiem książek i pod tym względem Kielecczyna zajmuje piętnaste miejsce w kraju. Nie ma się czym popisywać.

## SWIĘTOKRZYSKIE



Fot. Jan. Siedziwowski





Fot. Jacek Kisiel

anie wypłaty do chwili dokonania w banku „jakiegoś tam” przelewu, bo każdy miałby ochotę jedną ręką oddać towar, a drugą od razu brać pieniądze, żałując na zdarzające się przerwy w zamówieniach w okresach zimowych, kiedy to choć powieś się — nigdzie się nie da zarobić.

Z wszystkimi tymi koniecznościami chałupnicy gotowi byłby się jednak jeszcze jakoś pogodzić, gdyby nie nowość, która im zawisała nad głową. Od nowego roku, zgodnie z postanowieniem Krajowego Związku Spółdzielni PLIA, również produkcja ludowej ceramiki ma być objęta normowaniem.

Ceramicy potraktowali zapowiedź norm jako zamach na ich i tak chudą kieszeń, a ponadto na honor. Ile jest racji w tych obawach?

Jak już widać z przygotowywanych projektów nowej kalkulacji chałupniczych wynagrodzeń, ma się ona opierać na dokładnym podliczeniu zużytych na każdy wyrób gliny, polewy, farb, drewna i czasu. I choć formalnie wypłacane ceny niby nie będą

Cała nadzieja zainteresowanych, że argumentów tych będą próbowali użyć wobec władz finansowych referujący nowe normy i znający sedno sprawy przedstawiciele „Chałupnika”. Również we własnym interesie.

Niezadowoleni ze spółdzielniarstwa warunków pracy i płacy garncarze stosują obecnie nagminnie najprostszy sposób protestowania. Zamiast lepić wyczekiwaną od nich dewizową galanterię dekoracyjną, przerzucają się na użytkową — na doniczki i podstawkę i tym mniej pracochłonnym, a bardziej dochodowym, towarem usiłują skwitować swoje wobec spółdzielni zobowiązania. Co oczywiście naraża spółdzielnię na niewykonanie planu asortymentowego, na kory płacone czekającym na dostawy hurtownikom krajowym i eksportującym itd. Są też tacy, co w ogóle nie starają się ze swoich zobowiązań wywiązać, sprzedając np. ulepianki „na lewo” turystom i wydeptującym świętokrzyskie góry wycieczkom z Ameryki.

Wielu chałupników wyszło zupełnie ze spółdzielni, kupowało sobie maszyny i jęło się prywatnego tocenia doniczek i prywatnego nimi handlowania na straganach, bądź wreszcie poszło „na rządowe” — do wapienników i łopaty, gdzie nie trzeba było wysilać, a płacą też mało, ale akuratnie.

Co będzie, jeśli oczekiwane z takim strachem normy upowszechnią ten sposób manifestowania ambicji garncarskich?

W takiej sytuacji sprawa przedłużenia istnienia niepowtarzalnej, ceramicznej sztuki ludowej, sprawa naboru do niej nowych rąk, jest — trzeba to wreszcie spojrzeć — w jakimś stopniu zależna od opisanej atmosfery wśród starej kadry. Czy mistrz mający tyle waleczności na temat wartości i opłacalności swojej roboty może być dobrym pedagogiem i zachęcać młodych do tego fachu? „Po co? — mówią ilżęcy ceramicy — żeby klepali biedę tak jak my?” Albo: „Żeby się wyuczili i nam ten kawałek chleba zabrali?” Albo: „Wielki Boże, a z czegoż ja bym mu płacił?”

Tu znów ujawnia się drugi aspekt sprawy. Uczniowie garncarscy wciąż traktowani są przez władze spółdzielcze jako prywatny interes chałupników, obarczający ich absolutnie wszystkimi kosztami. A koszty są wysokie. Uczniowie przychodzący z wolnej ręki drożą się, żądają 100 zł na dniówkę. Uczniów więc mają tylko ci nieliczni, których na to stać, a stać tych, co produkują... doniczki. Rosną nam więc młodzi doniczkarze, a nie — o co przecież chodzi — artyści-ceramicy. Kółko niekonsekwencji zamyka się wcale konsekwentnie.

Można by jeszcze liczyć na nic nie kosztujących, naturalnych kontynuatorów zawodu, wywodzących się, tak jak to dotychczas bywało — z młodego pokolenia starych majstrów. Może znajdują się tacy, co zechcą pójść za głosem rodzinnych tradycji. Może, bo czy to młodzi w rodzinie też nie umieją patrzeć i rachować? Co innego pomagać staremu ojcu czy matce dla za-

(Dokończenie na str. 8)

## SZTUKA SKAZANA NA WYMARCIĘ?

TERESA ŁĘCKA

i zapewniony zbyt swoich wyrobów, korzystają (nie płacący podatku gruntowego) z opieki socjalnej i z kredytów inwestycyjnych, ba, niektórym dzwonią już na piersiach medale. Mimo to, i to właśnie ci najslawniejsi, nie należą do zadowolonych.

Płacone przez spółdzielnię chałupnikom ceny za wyroby obracają się w granicach przeciętnie od kilku do kilkunastu złotych, w czym 60% należności traktowane jest jako zwrot kosztów surowca, a 40% jako właściwe wynagrodzenie za robotę, podlegające opodatkowaniu. Pozwala to zarobić artyście-chałupnikowi przy codziennym pakowaniu się w glinę, nierzadko z pomocą rodziny, mniej więcej od 500 do 1.000 zł miesięcznie na czysto.

„Malo” — narzekają. Istotnie, zwążywszy, że każda z wapienych za te pieniądze dziesiątek figurek, choć robiona według jednego wzoru, jest dziełem samym w sobie. Od początku do końca osobno formowanym, wyklepanym, malowanym. I zważywszy, że niektóre surowce (drewno do wypału, polewa) od dawna podrożały, że często — a podstawowy surowiec, tzn. glinę, zawsze — trzeba kupować za własne pieniądze, wykładając np. na glinę od razu 1.000 zł. Spółdzielnia zaś zwraca te wydatki ratami, w opłatach za poszczególne wyroby.

Nie podoba się chałupnikom stosowany przez spółdzielnię system hurtowego, raz w miesiącu, rozliczania się z producentami, zdarzające się odkła-

zmienione, odwrócony zostanie stosunek wysokości zapłaty nieopodatkowanej (tej za surowce) do opodatkowania (tej za robotę), to znaczy ta ostatnia zostanie podniesiona. Praktycznie więc poprzez zwiększenie podatku od każdej figurki zarobek chałupnika zostałby zmniejszony.

Nikt nie jest obojętny, gdy mu odbierają pieniądze. Ale chałupnicy i ich opiekunowie (do takich należał zmarły ostatnio Jan Aleksander Zaremba, organizator właśnie trwającej w Kielcach wystawy ceramiki i tkaniny ludowej) wysuwają argumenty, którym nie podobna odmówić słuszności. Artystyczna twórczość ludowa nie powinna podlegać normom przemysłowym, tak jak nie podlegają jej dzieła artystów plastyków i członków innych stowarzyszeń twórczych. Nonsensem byłoby obliczać wartość obrazu czy rzeźby na podstawie ilości zużytego na nie kamienia czy płótna i farb, podobnie więc nie sposób wymierzać wartość glinianego piaszka tylko w dekagramach gliny i farby. Zresztą każdy lepi inaczej, zdobi inaczej, zużywa na prace inną miarę czasu i siły, i surowca. a także pracuje w inaczej kalkulujących się warunkach warsztatowych. Polityka podatkowa wobec ludzi wkładających w glinę całe swoje serce i talent, powinna być nastawiona na zachęcanie ich, a nie zrażanie. Bo jakże to? Czy są artystami, czy zwykłymi lepiglinami?

MIESZKA w Kielecczyźnie, wychowana na kilkuwiekowych tradycjach, grupa rzemieślników-artystów o ginącej już dziś specjalności — garncarzy i ceramików ludowych. Jak kiedyś ojciec i dźiad, kopią w lesie glinę i lepią z niej — według zachowanych w rodzinie wzorów — a potem wypalają w połowych piecach cudaczne ptaszki, dzbanki, lichtarze i kapliczki z męką panajezusową.

W województwie i w kraju wyroby te nie są zbyt szeroko znane, ale daleko po świecie — w Helsinkach, Brukseli czy Nowym Jorku świętokrzyskie skorupy — to wysoko ceniony towar handlowy. „Wonderfull” i taki polski! Stałym odbiorcom znane są dobrze zawsze te same, charakterystyczne dla glinianych wyrobów naszego regionu kolory: wszystkie odcienie żółtości i brązów, czarny, zgniózielony. Szczegółem dokładniej je określającym są wydrapanie na odwrocie każdej sztuki, powtarzające się od lat podpisy twórców, wśród nich najznakomitsze: St. Pastuszkiewicza, J. Kosiarskiej, K. Ciepiewskiego, W. Kitowskiego, T. Bąbla. Nazwiska dewizowe.

Niech nam żyją świętokrzyscy lepiglinami i lepigarni! Oto toast i oto problem. Niech żyją jak najdłużej, bo — kto będzie po nich? Warto się przyjrzyć problemowi.

Gdy przed 11 laty powstawała w Hży Wojewódzka Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Chałupnik” (podległa warszawskiej „Ce-zejli”), obok planów zabezpieczenia warunków pracy, bytu i zbytu rozproszonym wówczas i odosobnionym w swojej twórczości garncarzom, stawiała sobie za pewne również chwalebna troskę o przyszłość kieleckiej ludowej ceramiki. Dziś można powiedzieć, że pierwszy postulat udało się spełnić tylko jako tako, drugiego zaś — w ogóle nie, a mają one ze sobą niejaki związek.

Połączni w 4 terenowe zespoły chałupnicze (Hża, Denków, Ręćocin i Chałupki) ceramicy, mają dziś dzięki spółdzielni, ułatwione otrzymanie potrzebnych do produkcji surowców

## CZY KLUBY-KAWIARNIE?

(Dokończenie ze str. 6)

Jednak włożyć tytuł własnych pieniędzy, ile włożyli koledzy z Jedlińska. Przez wiele miesięcy kołotali w wydziałach kultury Powiatowej i Wojewódzkiej Rady, nim wyprosilili jaką taką pomoc. Ale i ci zwyciężyli. Kawiarnia ma duże powodzenie, stała się centrum życia kulturalnego Borkowic i okolicy! Ea, przyjeżdżający służbowo do Przysuchy, wpadają nierzadko do Borkowic na kawę!

Dużą popularnością cieszy się też kawiarnia, prowadzona w Rożnicy przez słuchaczy Uniwersytetu Ludowego. Spracowani okoliczni chłopci starym wycierają buty, zasiadają w schludnej sali, by uczestniczyć w interesująco prowadzonych imprezach czytelniczych.

Klub-kawiarnia, nowa dla wsi instytucja kulturalno-rozrywkowa, zdobyła sobie szybko rozgłos, zwłaszcza

wśród młodzieży. Zabiega już o nią wiele środowisk. Często łączy się to z żądaniem zamknięcia pijackiej knajpy. W niektórych wsiach przygotowania do otwarcia kawiarni są poważnie zaawansowane. Do rzadkości należą jednak wypadki, żeby takie przedsięwzięcie realizowano zgodnie, w takim np. gronie: koło ZMW, GS, wydział kultury.

Nie przypadkiem wymieniam tych trzech partnerów. ZMW zadbać może organizacyjnie o pracę kulturalno-oświatową. GS prowadzić winna działalność handlowo-gospodarczą. Od wydziałów kultury spodziewać by się należało pomocy w wyposażeniu we właściwe urządzenia. Przeproszam, jest jeszcze jedna organizacja — komitety do walki z alkoholizmem. Mają pieniądze, a im więcej kawiarni, tym mniej pijackich knajp!

Jak dotychczas, ZMW, główny organizator klubów-kawiarni, jest dość

osamotniony. Na palcach jednej ręki wliczyć można przykłady zrozumienia i pomocy.

Gminne spółdzielnie same otwarty kilka kawiarni. Ale nie jest to w żadnym wypadku klub-kawiarnia, tylko zawsze bar-kawiarnia. Bez działalności kulturalnej, ale za to z wódką. Bo inaczej będzie deficyt — utrzymują szefowie handlu!

Bujda! Zysk będzie mniejszy, ale kawiarnia bez wódki może być rentowna. Świadczą o tym doświadczenia istniejących już klubów-kawiarni.

Jeśli mnie już dopuszczono do głosu i mogę coś doradzać, to zalecam gorąco zaprzestanie prawie nic nie znaczącej twórczości świetlicowej, na rzecz nowych form radzących za gustami odbiorców, dotrzymujących kroku dokonującym się w tym względzie zmianom.

Jan Łysek



SPOJNIA — RZEZBA ZOFII WOLSKIEJ-BIMER

Fot. J. Wierzbolowicz



OBWARZANKI Z WĄCHOCKA

Fot. St. Sudnik

## TELEWIZJA POD STRZECHY

WIESŁAW BARAŃSKI

W KIELECCZYŹNIE również, jak sobie wymarzył Wiesław, książka, choć z olbrzymim trudem, trafia pod strzechę: jednak na tym nie kończy się ekspansja kulturalna na wieś kielecką. Oprócz wiejskich kin, rolnicy zaczynają poznawać — tego nie przewidział Poeta — gorzki, na razie, smak telewizji. Najpierw tylko na dachach wiejskich szkół widać było anteny telewizyjne, ale ostatnio także wiejskie chałupy stały się przystanią najmłodszej Muzy. Telewizja na wsł byłaby prawdziwym błogosławieństwem, gdyby nie kilka drobniaków, z których najbardziej przykry jest kiepski odbiór, wynikający niestety z wciąż jeszcze słabej mocy przekaźnika telewizyjnego na Św. Krzyżu.

A szkoda bo chłopcy z ufnością, chociaż z ciężkim sercem (dość wysoki koszt odbiornika i anteny), godzą się na instalację telewizora. Przecież oprócz informacji, transmisji przedstawień teatralnych, imprez sportowych i filmów, mogą zobaczyć specjalnie adresowaną do nich audycję wiejską pt. „Niedzielną biesiadą”. Autorzy tej audycji starają się możliwie najlepiej dobierać tematy, zakładając, że rolnicy z innych regionów kraju coś z nich będą mieli, czego się nie nauczy. Oczywiście na razie, kiedy zaledwie połowa kraju i to połowa najbardziej uprzemysłowiona, odbiera program telewizyjny, audycja wiejska miją się z celem, ale już za rok—dwa, kiedy wreszcie telewizja dotrze ze swym programem do najdalszych zakątków kraju, „Niedzielną biesiadą” może przynieść, z racji swego olbrzymiego nakładu i — miejmy nadzieję — atrakcyjniejszej formy, nieoczekiwanie pozytywny rezultat.

Z chwila, kiedy powstaną możliwości nadawania bezpośrednich reportażi telewizyjnych z Kieleckiego czy Lubelskiego, tematyka terenowych audycji znacznie zwiększy swój zakres i chociażby z tej racji, że sprawy, o których się w telewizji mówi, dzieją się nie gdzieś za siedmioma górami i lasami, lecz u sąsiadów, zwiększy na pewno popyt na telewizję. Podstawowym jednak warunkiem popularności telewizji na wsł i nie tylko, musi być — jak wykazała praktyka — dobra technicznie jakość programu! Nie można, nie tracąc zaufania widzów, w in spe, częstować ich rozfalowanym obrazem, napisem: „Przepraszamy za zakłócenia” i charakterystycznym dźwiękiem.

Wiejscy widzowie muszą również mieć pewność że kiedy im się odbiornik zepsuje, znajdą pomoc w najbliższym powiatowym miasteczku, gdzie ich obsługuje stacja SORIT, możliwie na poczekaniu, żeby już jadąc z targu mogli zabrać naprawiony telewizor do domu.

Ekipy instalujące we wsiach odbiorniki telewizyjne muszą być przygotowane do udzielenia rolnikom szczegółowych instrukcji dotyczących eksploatacji odbiornika, muszą także pamiętać o starannym uzimianiu anten.

Ostatecznie nie jest to przyszłość tak odległa, zarówno w Kielcach, jak i Lublinie trwają prace przygotowawcze do budowy ośrodków telewizyjnych. Na Św. Krzyżu nadeszły już pierwsze partie urządzeń radiolaczy, które umożliwią kieleckiej i lubelskiej stacji nadawczej przyłączenie się do ogólnopolskiego programu telewizyjnego. Urządzenia te, a także nadajniki o dużej mocy — zapewnią mieszkańcom każdej zelektryfikowanej wsi dobre warunki odbioru telewizyjnego.

Z drugiej strony obecność stacji nadawczych i radiolaczy umożliwi polskiej telewizji pokazanie na ekranach całego kraju najciekawszych spraw i ludzi tutejszych okolic. Nie ulega także wątpliwości, że mamy co pokazywać. Odwiedziliśmy na przykład niedawno maleńki Annopol nad Wisłą i wyjechaliśmy stamtąd pełni podziwu dla inicjatywy i energii mieszkańców tego lubelskiego miasteczka, którzy z brudnej, zaniedbanej i częściowo zniszczonej (tereny przyczółkowe) osady

□ Wydział Kultury Prezydium WRN zamierza ogłosić 1962 rok — Rokiem Ziemi Kieleckiej. W czasie jego trwania mają być zorganizowane liczne imprezy kulturalne, np. festiwale, wystawy i konferencje naukowe. M. in. projektuje się urządzić dużą wystawę sztuki ludowej, obejmującą rzeźbę, ceramikę, tkactwo, wycinanki itp., która ma być następnie eksponowana na Ziemiach Zachodnich. Ciekawie w swym założeniu jest pomyślana wystawa poświęcona zwalczaniu tandety artystycznej w formie „gabinetu-szmiry”.

Nie zabraknie konkursów. Atrakcyjnie zapowiada się konkurs na pamiętnikarstwo regionalne, najestetyczniejszą bibliotekę itd. Planuje się także wydać z okazji Roku Ziemi Kieleckiej herbarz miast Kielecczyzny, monografię Kiele i zabytkowej Wiślicy oraz mapę turystyczno-krajoznawczą.

□ W tym roku Kielecczyznę odwiedzi około miliona turystów, tj. o 250 tys. więcej, niż w roku 1960. Stopniowo turystyka jako gałąź ekonomiki województwa toruje sobie drogę. W br. przybyło w schroniskach, stacjach turystycznych, campingach itp. 1.000 nowych miejsc noclegowych, zaś na trasach turystycznych otwarto około pięciuset nowych sklepów, jadłodajni, barów i innego rodzaju zakładów gastronomicznych. Celem lepszej obsługi ruchu turystycznego otwarto punkty informacji turystycznej w Kielcach, na Św. Krzyżu i w Busku-Zdroju.

## SZTUKA SKAZANA NA WYMARCIE

(Dokończenie ze str. 7)

bawy w kręceniu gliny na stole, co innego robić przez całe życie bez specjalnie zachęcających perspektyw.

„Niezdrowa jest — używają młodzi i takich argumentów — taka robota w glinie. Głina wyciąga...”

Pusto jest więc w coraz wolniej wypełniającej się konikami pracowni niedoleżącego z dnia na dzień niestora kieleckich ceramików, starego Fastuszkiewicza. Nie ma komu nauczyć się lepienia jedynych w swoim rodzaju kur od starego Kitowskiego, który siedzi samotnie pod piecem i dokleja swojemu glinianemu ptakowi po jednym glinianym piórku, obficie zwilżając każdy własną śliną („Pani widzi, co to za robota za 9 zł i 50 groszy”). A całkiem niedawno odeszło ostatecznie od warsztatów — nikomu nie przekazawszy tajemnicy zręczności swoich palców — kilku sędziwych ceramików. Ciężko pochorowali się lub po prostu umarli.

Kto się tym zmartwił?

Eyl swego czasu, opracowany również przez wspomnianego A. Zarembę i przedstawiony gdzieś w Warszawie, program podjęcia tzw. przywarsztatowego szkolenia młodych ceramików z własnych funduszy Związku. Pozwoliłyby one uruchomić bodźce materialne wobec starych (wynagrodzenie za lekcje), żeby mogli i chcieli

dy zrobili kolorowe, czyste, miłe miasteczko. Jak to zrobili? Oto pytanie, na które mogłaby dać odpowiedź tylko audycja telewizyjna, ponieważ ani radio, ani prasa nie potrafi tak dokładnie i szczegółowo pokazać wszystkich zmian, jakie zaszły w wyglądzie Annopola w ciągu — tak, tak, to nie przesada — jednego tylko roku.

Podobnych, wymagających jakiejś szerszej popularyzacji spraw, jest wię-

uczyć młodych, i wobec młodych (stypendia) — żeby jeśli mają talent — chcieli przy glinie zostać.

Był taki program, ale nie wyszedł poza papier, bo go widocznie nie uznano dostatecznie energicznie forsować, bo go widocznie tam, gdzie trzeba, nie dość uważnie przeczytano. Nawet więc nie spróbowano tej może jedynej w obecnej sytuacji drogi podtrzymania niepowtarzalnego ginącego na oczach wszytkich kunsztu.

Smutne, trochę typowe, trochę kompromitujące.

Teresa Łecka



TARG W JĘDRZEJOWIE

Fot. Andrzej Sowa

cej. Mogłyby się one stać przykładem dla wielu innych wiosek czy osiedli, których mieszkańcy może chcieliby coś zrobić, ale nie wiedzą jak.

Dlatego cieszymy się na widok każdej anteny telewizyjnej, wyrastającej z krytego słomą, czy eternitem, dachu wiejskiej chałupy, dlatego także chcielibyśmy możliwie najwcześniej zobaczyć wianki na stropach nowych ośrodków telewizyjnych...

ceramiki i tkactwa ludowego. Obejmuje ona ogółem 239 eksponatów, z czego 156 przypada na ceramikę. Celem wystawy jest opracowanie nowych rodzajów wzorów sztuki ludowej, które by mogły znaleźć szerokie zastosowanie w dekoracji wnętrz, przegląd aktualnego stanu tkactwa i ceramiki ludowej regionu kieleckiego oraz popularyzacja sztuki ludowej.

Warto podkreślić, że wystawiane eksponaty noszą autentyczny ludowy charakter, a na wystawie reprezentują swe wyroby nie tylko starzy twórcy ludowi, ale szereg młodych artystów, np. 20-letni Jan Bidziński. Jest to dowodem, że sztuka ludowa nie zamiera. Szczególnie oryginalnie przedstawia się tkactwo. Radują oko barwne zapaski, ręczniki z koronkami, kilimy, burki (fartuszki) itp. Wystawa ma charakter objazdowy. Zawita ona do Radomia i innych miast Kielecczyzny.

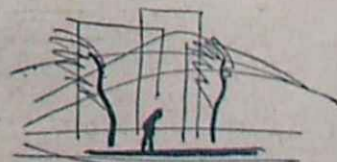
□ W ostatnim okresie coraz mniej „modne” stają się świetlice, a ich miejsce zajmują kluby. Obecnie działa na Kielecczyźnie 37 tego rodzaju placówek kulturalnych. Kluby te na ogół wyrzekają się ekskluzywnych metod pracy — tylko do 9 klubów obowiązuje wstęp za kartami. Są to przede wszystkim kluby przeczające inteligencję twórczą.

M. ED.



dziny historii architektury doc. dr Świeckowski z Zakładu Architektury Polskiej — Politechniki Warszawskiej. Celem badań jest rozpoznanie najstarszej architektury tego zabytku, pochodzącego z 1171 r. Obejmują one badania murów fundamentowych, krypt itp. Podczas badań znaleziono resztki starej ceramiki i pewną ilość monet, m. in. denar jagielloński z połowy XV wieku. Obecnie trwają badania podziemi katedry, połączone z ich inwentaryzacją.

□ Staraniem Wydziału Kultury Prezydium WRN i „Cepelii” oraz spółdzielni PLIA „Chałupnik” (Itza) urządzono w Kielcach ciekawą wystawę







# BIAŁYSTOK

## JEDNA CZY DWIE TWARZE?

WŁODZIMIERZ ŁOZIŃSKI

Nie zaproszony — widać nie zaliczam się już do młodych — poszedłem jednak na występ ZMS-owskiego kabaretu „Chapeaux bas”. Nie przez sympatię dla kolegi dziennikarza, który jest autorem tekstów kabaretu, twierdząc, że program jest dość dobry. Recenzenci mogliby się z pewnością czepiać zbyt pompatycznej interpretacji prostej treści utworów; mogliby zarzucać autorowi zanadto publicystyczny sposób wyrażania subtelnych nastrojów i uczuć. Ja nie. I to nie tylko dlatego, że nie jestem recenzentem, lecz przede wszystkim dlatego, iż program dał mi dostateczną dawkę przeżyć i wzruszeń.

Cztery monologi (jeden z nich nosi tytuł „Chapeaux bas”) nawiązują do historycznego w Polsce przełomu, do lat 1944—45. Pamiętacie te czasy, kiedy argumentem w politycznej dyskusji był pistolet, kiedy jawnie sformułowana deklaracja ideowa mogła jednocześnie oznaczać wyrok śmierci, kiedy walka o nowe rozgrywała się w huku wystrzałów. O młodszych tamtych czasach, o jej wahaniach, dramatach i upadkach mówi kabaret „Chapeaux bas”.

Autor — dziennikarz patrzy na te czasy okiem historycznej perspektywy. On zna je dobrze, miał wtedy 16—18 lat. Chce jednak prawdę o tych czasach przekazać dzisiejszym osiemnastolatkom, którzy wówczas nie umieli jeszcze dobrze chodzić i mówić.

W małej kawiarni Związków Zawodowych było tych 18-latków pełno. — Oni i oni — zgrabni, piękni nie tylko pięknością swego wieku, ale też idealnie skrojonymi ubraniami w najlepszym gatunku. Pili kawę, palili papierosa i patrzyli na scenę. Odnosiłem wrażenie, że program im się podobał, bili przecież brawa i chyba byli wzruszeni.

Dlatego więc mówię o tym tak wiele? Dlatego, że obraz 18-latków z kawiarni Związków Zawodowych w dniu programu „Chapeaux bas” ani rusz nie pasuje mi do obrazu ich rówieśników spotykanych gdzie indziej. Nie pasuje mi na przykład do obrazu studentów bojkotujących stypendia tak zwane fundowane dlatego tylko, że nie są one o wiele wyższe od stypendiów państwowych, a przykuwają przyszłego absolwenta do określonej miejscowości. W ramach szerzej pojętej polityki kadrowej państwu zależy na tym, aby również w Sejnach byli zdolni architekci, a w Małych Trąbkach lekarze. Chcąc zagwarantować ich przyjazd rady narodowe dają studentom trochę pieniędzy, dają tyle, ile mogą dać. A studenci? Nie potępiam ich za wygórowane ambicje. Zresztą żadnych ambicji młodego człowieka nie można nazwać wygórowanymi. Każdy ma prawo widzieć siebie najlepszym naukowcem, zajmującym najwyższe stanowisko zawodowe czy społeczne. Jednakże młodzi ludzie, studenci karierę swoją uosabiają wyłącznie z wielkomięjskim, wygodnym i beztrojskim życiem. Jest w tym pewna logika.

— Jeśli mam męczyć się przez pięćdziesiąt lat ciężkich studiów, to chyba potem mam prawo do leckiego życia. Na pewno tak. Ale w takim rozumowaniu brak jest argumentów ogólniejszych, powiedziałbym nawet społecznych. Jeśli bowiem chcemy zmieniać obraz życia w całej Polsce, a więc i w Małych Trąbkach — to nie możemy ignorować uzasadnionych życzeń i potrzeb lamtejszych mieszkańców. Nie można budować socjalizmu w metropoliach pozostawiając zapadłe wioski na średniowiecznym poziomie życia. Jeśli już do tych wiosek dociera radio, światło, samochód i kombajn, śladem tych urządzeń muszą dotrzeć też wysoko kwalifikowani fachowcy: agronomowie, inżynierowie, lekarze. To jest prosta konsekwencja naszego rozwoju.

— No dobrze — odpowie mi student, który nie chce wziąć stypendium fundowanego — ale przecież absolwent idąc do Małych Trąpek traci bardzo wiele w stosunku do absolwenta pozostającego w dużym mieście. Traci środowisko intelektualne, które może determinować jego dalszy rozwój, traci wygodne lokum (z gorącą wodą i ga-

zem), traci kawiarnię, teatr, a czasem i kino. Powinien więc zyskać za to jakąś rekompensatę, na przykład znacznie wyższe stypendium, a potem lepszą pensję. Ta argumentacja jest bardziej przekonująca. I być może nie najlepiej jest jeszcze z zagwarantowaniem absolwentom warunków, które można by nazwać zachęcającymi bodźcami ekonomicznymi. Stypendia, pensje na wsi nie są może jeszcze dostatecznie wysokie, a mieszkania najlepsze. Można by tu jeszcze sporo poprawić.

Denerwujące jest jednak to, że młody człowiek studiujący za państwowe pieniądze nie bierze pod uwagę wszystkich potrzeb i trudności, z jakimi to państwo się spotyka. Przecież w Małych Trąbkach trzeba nie tylko urządzić lekarza, ale też przeprowadzić melioracje, pobudować drogę, świetlicę, ośrodek zdrowia. Wszystko to, pilne, potrzebne, a trudno na wszystko znaleźć od razu pieniądze. Daje się więc tyle, ile można, a na resztę żąda się odrobiny... społecznej postawy.

Oto sedno sprawy. Oto związek z programem kabaretu „Chapeaux bas”. W 44/5 najbardziej społeczną postawę okazywał ten, kto nie wahał się wziąć do ręki karabinu w obronie władzy. Potem, w czasach moich studiów, a Polska liczyła już sobie pięć lat, społecznikiem był ten, kto po wykładach razem z robotnikami stawał na rusztowaniach domu akademickiego.

Wiem, inne były warunki. Przeciągająca się budowa oznaczała perspektywę spania na dworcu lub w zimnej sali wykładowej. Trzeba więc było budować. Ale do wyjazdów na wieś z programem artystycznym, z odczytem o spółdzielni produkcyjnej, nikt nikogo nie zmuszał. To był rezultat społecznej postawy.

Wiele w tych czasach było nienormalności. Ale niewątpliwym rezultatem społecznej postawy było samorzutne deklarowanie przez studentów 30—50 procent stypendiów na potrzeby rozwoju sił Polski. Nie starczyło na dobry obiad, ale człowieka zaspokajała chwilowo świadomość, że przyczynił się do odbudowy, do polepszenia życia w przyszłości.

W osiemnastym roku istnienia Polski jest niewątpliwie lepiej. Nie wyobrażacie sobie przecież studenta pomagającego w budowie kliniki Akademii Medycznej, czy wyjeżdżającego na wieś, aby agitował za kółkiem rolniczym. Nie wypominam studentom, że tego nie robią. Stać nas już na to, aby powiedzieć — waszym podstawowym obowiązkiem jest dobra nauka.

Czy jednakże w dogadaniu młodzieży nie posunęliśmy się za daleko? Jest rzeczą niewątpliwą, że brak trudności prowadzi do rozleniwienia i bierności. Niektórzy ten stan nazywają konsumpcyjnym lub pasywnym stosunkiem do życia.

Faktem jest, że aktywność społeczno-polityczna i to nie tylko wśród studentów maleje prawie do zera. Pamiętam, jeden z kolegów dziennikarza przez miesiąc nosił się z zamia-

rem napisania artykułu o oddziaływaniu białostockich studentów na miasto. Dotychczas artykułu takiego nie napisał, bo nie znalazł wielu pozytywnych przykładów. Nie chodzi tu bynajmniej o zorganizowanie studentów w szturmowe ekipy budowlane, czy nawet felczerkie. Chodzi jedynie o osobistą aktywność młodych ludzi, o własną chęć zmieniania najbliższego otoczenia.

Niedawno, człowiek odpowiedzialny za stypendia fundowane przez Prezydium WRN opowiadał mi o pewnym studentcie z Krakowa, który po uzyskaniu dyplomu ma objąć posadę w Łapach. Ponieważ zbliża się on do końca studiów, przyjechał do Białostoku, aby rozejrzeć się w sytuacji. Przedstawicielowi WRN zadał tylko dwa pytania: czy zarobi minimum trzy tysiące złotych i czy dostanie trzyizbowe mieszkanie? Problemy pracy, środowiska i intelektualnego poziomu Łap nie obchodziły go wcale. Oto macie prawdziwą próbę konsumpcyjnego traktowania życia. Czyż można oczekiwać, że człowiek tego rodzaju będzie w Łapach współczesnym Judymem? Z pewnością nie. Raczej zasklepi się w swoich trzech pokojach i będzie biernie oczekiwał na swoją wielką szansę, a jeśli ta szansa nie przyjdzie, gotów zwiędnąć w samotnym zgorzknieniu. To już jest pogranicze drobniomieszkaństwa. A przecież ciągle chodzi o inny typ młodego człowieka, którego zdefiniować trzeba by chyba tak: młody człowiek rozpala swoją energią całe środowisko. W Małych Trąbkach, Łapach i Sejnach widzi perspektywę, która uczyni z nich najpiękniejsze miasta pod słońcem.

Definicja to jednak na ogół — marzenia. Rzeczywistość jest inna, w każdym razie bardziej złożona. Wśród widzów kabaretu „Chapeaux bas” rozpoznają przecież również twarze białostockich studentów. I oni wzruszają się, okłaskują. Więc jak to jest naprawdę z tą młodzieżą? Czytam ankietę przeprowadzoną wśród studentów warszawskiej politechniki i stwierdzam z satysfakcją, że zdecydowana większość tych ludzi opowiada się za socjalizmem, ocenia go jako ustrój najlepszy dla Polski i dla nich samych. Cóż więc powiedzieć o tych studentach, skoro to są ci sami ludzie? Raz ideowi, pełni patriotycznych uniesień, drugi raz znowu chwycący pieniądze i beztrojskiego życia. Jest w tej dwoistości jakaś sprzeczność zakrawająca na podwójne oblicze? Na pewno nie. Na pewno dzisiejsi młodzi ludzie określają swoją postawą typ przyszłego człowieka. A więc ideowego, a równocześnie żyjącego w dostatku i wygodzie. Natomiast pokolenie starszych ocenia tę postawę młodzieży z pozycji naszych dzisiejszych braków i potrzeb. I również ma rację. Dzisiaj bowiem istnieje ciągle jeszcze potrzeba okazywania na co dzień swojej aktywnej postawy. Tak jak siedemnaście lat temu istniała potrzeba trzymania w ręku karabinu.

## SIEDZIMY w wygodnych fotelach w gabinecie profesora, na terenie Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka Białostockiej Akademii Medycznej.

Profesor dr Tadeusz Dzierżykray-Rogalski, kierownik tego zakładu jest równocześnie przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Antropologicznego. Ponieważ rozmówca nasz powrócił niedawno z Egiptu, ograniczamy się do tego tematu.

Panie Profesorze, na wstępie dosyć istotne pytanie: dlaczego właśnie Egipt jest terenem wypraw polskich antropologów, i jak do tego doszło?

Celem arabsko-polskich wypraw jest zdobycie materiału naukowego związanego z zagadnieniem historii rozwoju człowieka i poznaniu struktury rasowej Egiptu.

Ponieważ rozwój organizmu ludzkiego zależy od wielu czynników, nie sposób jest opierać się na materiały zebranym z jednego tylko środowiska biogeograficznego, np. z Polski. Otóż Egipt jest właśnie krajem, w którym organizm ludzki rozwija się w zupełnie innych warunkach niż u nas. Przede wszystkim inny jest skład rasowy tamtejszej ludności — występuje tam zetknięcie się odmian białej, czarnej i żółtej, inne warunki geograficzno-klimatyczne i zupełnie inny jest też rodzaj pożywienia ludności egipskiej w porównaniu z naszym. Dlatego szczególnie cenne jest skonfrontowanie materiałów z naszego terenu z materiałami egipskimi.

A badania struktury rasowej Egiptu?

Tu należy przypomnieć, że na tereny dzisiejszego Egiptu napływały liczne fale ludów. A więc najstarsze, będące prawdopodobnie punktem wyjścia dla żółtej odmiany człowieka — z Azji, potem z basenu śródziemnomorskiego, wreszcie ostatnio z głębi Afryki. To wszystko stworzyło w Egipcie dużą różnorodność struktury rasowej. Badania nad tą ostatnią być może pozwolą ustalić, w jakiej mierze odchyła się ona od struktury rasowej Egiptu starożytnego, co z kolei może wyjaśnić niejedną tajemnicę mechanizmu dziedziczenia przez potomstwo pewnych cech organizmów rodzicielskich.

## ANTROPOLODZY W OAZIE SIWAH

Oprócz tego badania mają pewne znaczenie użytkowe dla władz egipskich. Chodzi o pomiary antropometryczne dla celów przemysłowych.

To wszystko oczywiście podaje w telegraficznym skrócie, więc w sposób niepełny, ale temat jest na cały cykl wykładów i to nie na przeciąg jednego roku.

Pytał panowie, jak doszło do tych wypraw. Otóż trzeba wyjaśnić, że antropologia polska jest obecnie bardzo wysoko ceniona w świecie. Podobnie jak matematyka, z tą różnicą, że o matematyce wie się na ogół więcej. Pierwszy kontakt nasze Towarzystwo wspólnie z Komitetem Antropologicznym PAN, nawiązało w 1953 r. z National Research Centre — naczelną organizacją naukową Zjednoczonej Republiki Arabskiej. Bardzo pomocny był nam w tym prof. Kazimierz Michałowski, z którego zdaniem (nie tylko w archeologii) władze w Kairze bardzo się liczą. O przychylności tych władz najlepiej świadczy fakt, że ostatnia wyprawa była opłacana przez rząd ZRA.

Stosunek rzeczywiście bardzo przychylny. Ciekawe, czy badana ludność równie przychylnie przyjmowała Państwa? Ostatnio terenem badań była oaza Siwah. Termin „oaza” sugeruje, że to gdzieś głęboko w pustyni?

Tak. Trzysta kilometrów na południowy zachód od miejscowości Marsa Matrouch. Świat zabity deskami, bez żadnej drogi. Jedzie się po prostu wzdłuż linii telegraficznej. I to wolno tylko w większych karawanach samochodowych, przystosowanych do podróży w ciężkim terenie. Co do stosunku ludności tubylczej do nas, to było bardzo różnie. Na ogół



Tu pracowała nasza ekspedycja naukowa — objaśnia prof. Dzierżykray-Rogalski. Fot. J. Berezowski



Red. Mouski w dzielnicy handlowej Kairu

(Dokończenie ze str. 9)

plemię Berberów, zamieszkujące od wieków tę oazę, po pewnym czasie przywyczało się do nas. Powodem tolerancji mógł być fakt, że lekarze wchodzący w skład naszej ekipy chętnie udzielali pomocy lekarskiej, pomagając w ten sposób miejscowemu lekarzowi. Ponadto Egipcjanie mają z nami wiele cech

wspólnych. Są gadatliwi, serdeczni, przyjacielscy... Ale nie obyło się też bez pewnych drobnych konfliktów. Na przykład, do badań nad pigmentacją włosów potrzebne nam były kosmyki włosów. Nie było mowy o tym, by jakaś Fatima czy Mohamed zgodzili się na dobrowolny zabieg pozabawiający paru włosów; wszędzie zle siły nie darowałyby takiej zniżki.

Poza tym musicie panowie wiedzieć, że bardzo bolesnym zabiegiem w Egipcie jest fotografowanie. Dla fotografa. Sam się o tym przekonałem, kiedy spróbowałem zrobić zdjęcie jednej z kilku żon pewnego szeka. Na widok obiektywu, kij zardzośnika znalazł się niebezpiecznie blisko mojej głowy...

Szczerze współczujemy. To zupełnie jak u Karola Maya... Ale teraz poważnie. Wspomniał Pan Profesor o wielożństwie. Wiadomo z prasy, że rząd ZRA walczy z tym obecnie. Jak ten problem wygląda w praktyce, w różnych środowiskach?

Jeden z moich egipskich przyjaciół, profesor uniwersytetu, gdy go o to zapytałem, odparł: „— Ach, i o czym tu mówić! Kto chce mieć kilka żon, ten ma.” Ale na ogół, wśród inteligencji nie spotyka się związków poligamicznych. Jednak problem ten nie jest łatwy i środkami administracyjnymi chyba nie da się go załatwić, zwłaszcza, że władza gubernatora wśród wędrownych plemion Beduinów jest dosyć iluzoryczna. Wielożństwo tkwi głęboko w mentalności mahometan, a poza obyczajowymi dochodzą też czynniki religijne i merkantylne. Żony mianowicie pracują w gospodarstwie, czy, jak w oazie Siwah, przy uprawie palmy daktylowej i drzew oliwnych. Mężowie w tym czasie prześiadują w kawiarni grając w kości, plotkując i słuchając przez radio wiadomości politycznych, które są ciągle w centrum zainteresowania.

Potem przez głośniki umieszczone na meczecie dobiega nawoływanie muezina na modlitwę i wszyscy wybiegają przerywając na piętnaście minut dotychczasowe zajęcia. Ale muszę przyznać, że widziałem wielu troskliwych ojców i zakochanych mężów. Może to zasługa kobiet egipskich, które dbają o siebie niezmiernie i są pełne zalet bez względu na wiek. Podobnie jak na całym świecie, jest on starannie ukrywany. Jedną z badanych przez nas pań np. uparcie twierdziła, że nie ukończyła jeszcze dwudziestej drugiej wiosny. Ponieważ dane o wieku potrzebne nam były do opracowania naukowego, a nie w celach towarzyskich, trochę trudno było nam się z tym zgo-

ANTROPO-  
LODZY

W OAZIE  
SIWAH



Uniwersytet mahometański „El Aschar”

Fot. T. Dzierżykray-Rogalski

dzić. Tym bardziej, że obok stała jej osiemnastoletnia córka.

Słowem nihil novi... Ciekawostki tak frapujące, że odbiegłszy nieco od zasadniczego tematu rozmowy...

Przeglądamy właśnie owoc wyprawy z 1958 r. Jest to gruby tom pod tytułem „Publications of the Joint Arabic — Polish Anthropological Expedition 1958/59”. Dużo zdjęć i tabel z danymi uzyskanymi z wywiadów, z cechami pomiarowymi, morfologicznymi, pigmentacyjnymi.

Czy z zebranego materiału można już wysunąć jakieś naukowe wnioski?

O, z tym to sprawa nietłwa. Zebrany materiał opracowywać naukowo trzeba będzie jeszcze przez szereg lat. Co na pewno udało nam się stwierdzić — na podstawie materiałów kopalnych — to wczesny wiek umieralności kobiet egipskich z okresu greckorzymskiego, przy długowieczności mężczyzn. A więc pewna zbieżność z badaniami na naszych terenach.

Z jakiego okresu?

Z okresu neolitu (epoki kamienia gładzonego).

Badania prowadzone są systematycznie, kiedy więc wyruszy następna wyprawa?

Z początkiem przyszłego roku.

Pozostaje nam zatem tylko podziękować Panu Profesorowi za ofiarowanie nam swego cennego czasu i życzyć wielu sukcesów w następnych wyprawach.

Z prof. dr Tadeuszem Dzierżykray-Rogalskim rozmawiali: Zygmunt Ciesielski i Aleksander Gabrusiewicz



Egipcjanka z oazy Siwah

PAN Wojciech i Jacuś — „Sucha Rączka” mieszkali na strychu przy ulicy Kota Rybołowcy.

Nazwa ulicy była nieźle dobrana: kocie łby, w nocy marcowe wrzaski i gonitwy po dachach, a i sklep rybny, cuchnący o mle, też był. Normalni mieszkańcy miasteczka krzywili się z dezaprobatą, ale panu Wojciechowi z wszystkich zalet mieszkania najbardziej odpowiadała właśnie nazwa ulicy, pozostałość po zwirowanym burmistrzu, który, nim z hukłem opuścił miasteczko, zdążył przechrzcić Słowackich, Rejmontów, Krzywe i Lipowe na Czerwone Kapturki, Jasie i Małgosię, i Zakochane Słowiki.

Drugim wielkim plusem mieszkania było niekrepujące wejście, bez żadnych zatargów ze współlokatorami, bez żadnych uwag i kontroli.

Metraż też był godny pozazdroszczenia. A że trochę zimno — za wiele od losu wymagać nie należy.

Pan Wojciech nosił się pięknie. Poly płaszczka zarzucał zawiadacko; kapelus (trochę dziurawy — ale tego nie widać) wkładał z jakimś tylko sobie właściwym skretem na bakier. Dodałoby mu to jednocześnie i wdzięku i godności.

Najważniejszym szczegółem jego postaci był nos. Nos, który marszczył się wściekle, nos który przebiegał przeciwna jak szpada, który uśmiechał się błogo, gdy jego właściciel był taskaw mieć dobry humor.

Jacuś — „Sucha Rączka” to zupełnie co innego. Cóż Jacuś? Biedaczyna, który może tylko słuchać rozkazów i spełniać ciężkie roboty nie wymaga-

## MILIONER z ulicy Kota Rybołowcy

HELENA KARPIŃSKA

jące ani subtelności uczuć, ani cienkiej inteligencji.

Od ulicy Kota Rybołowcy, o trzy rudery za apartamentem pana Wojciecha, płynął pokaźny rynsztok, a zaułek, do którego ów rynsztok przynależał, skręcał najpierw w lewo, później na wprost, a jeszcze później wychodził na Rynek, gdzie we wtorki i piątki odbywały się huczne jarmarki.

Trasę rynsztoczka trzeba zapamiętać, bo właśnie tu na zakręcie mieszkała pani Lusla, której tak trudno było dźwigać węgiel na drugie piętro.

Pan Wojciech, kochający piękne nazwy i wszystkie piękne rzeczy, miał też piękny zawód. Nawet trudno byłoby go sobie wyobrazić w jakimś innym fachu: sprzedawał kwiaty.

Nie hodował ich niestety, bo gdzie? Biegał o świcie po ogródkach przedmieścia, załatwiał transakcje handlowe, a Jacuś znosił naręczą na strych.

W dniu zwykłe sprzedawało się koło słupa z ogłoszeniem — a w targowe na rynek.

Pani Lusla codziennie spotykała kwiatciarzy. Tydzień miała uregulowany jak i oni. W dniu zwykłe chodziła po chleb i mleko dla dzieci do sklepu, a w targowe na rynek.

Pani Lusla namiętnie kochała kwiaty. W domu rodziców hodowała dziesiątki doniczek kwitnących fuksji, pelargonii i hortensji, choć ostrzegano ją, że hortensja przynosi nieszczęście.

Mieli rączę.

Przyniosła najpiękniejszą hortensję do nowego mieszkania i oto cały możliwie budowany życiowy plan: małżeństwo, dzieci, dom — runął.

Mąż, zdawałoby się porządny, księgowy z dodatkiem funkcyjnym, rozpił się, zaczął latać na dziwki, aż wreszcie zwyczajnie odszedł. Na szczęście zostawił mieszkanie — ale cóż to znaczy wobec panieńskiego szczęścia wśród fuksji i oleandrów.

Pani Lusla, przechodząc koło wiaderek, w których jak sny na polu, tkwiły ciasno związane gladiole, rumiany czy wiosenne piwonie — zwalniała mimowoli kroku. Nie kupowała nigdy. Za co?

Pan Wojciech widział w jej wzroku niemą pożałiwłość i nos błyskał mu najczarowniejszym uśmiechem. Lubił gdy podziwiano jego „ogród”.

Potem zaczął jej się kłaniać, ostrożnie uchylając kapelusza, aby nie naruszyć nieskazitelnej linii runda.

Bliższą znajomość zawarli na rynku w przedzień Zaduszek — żniwa handlarzy kwiatów.

Płaszcz pani Lusli był za lekki na jesienną pogodę — cera przybladła, dzieci też wyglądały na niedożywione. Przeciśkała się w tłumie z koszykiem, na dnie którego leżała kapusta i serek, i znów mimowoli zwolniła kroku natykając się na las chryzantemowych bukietów.

Tęgawa jejmość targowała się zjadło o jakieś doniczki, a wreszcie, nie mogąc dosięgnąć ręką odległego bukietu — wskazała go nogą.

— A toto ile? — Te lila?

Ni — ile — odparł z godnością pan Wojciech. Nos zaczął mu się podeirzanie marszczyć. Ni — ile — nie do sprzedania dla paniusi.

— Dlaczego nie do sprzedania?

— Bo paniusia nogą pokazywała.

Jejmość zatkało: — „A cóż to mi pan będzie wygadywał, podeptałam panu czy co? Chcę kupić i mogę pokazywać czym chcę.”

— Nie życzę sobie. Pani do kwiatów serca nie masz i kwiaty pani niepotrzebne. Pani wiesz — co to kwiat? Jak daleko się rodzi — matka dostaje kwiaty. Cłowiek się żeni i wtedy też są kwiaty. Musowo. I jak się umiera — też kwiaty. A pani mi tu będziesz kwiaty nogą pokazywała. O, tej pani to ja mogę dać darmo.

Szermanekim gestem wręczył wiązkę liliowych chryzantemek pani Lusli, która dopiero teraz spostrzegła się, że





**Biały  
Stok**

**Branic-  
kich**

◀



◀ BRAMA B. PALACU BRANICKICH (OŚCIEŻNIE AKADEMII MEDYCZNEJ)

ZBROJOWNIA PRZY PALACU. Fot. Z. Zaremba

(Dokończenie ze str. 11)

szych ciekawostek o charakterze anegdotyczno-obyczajowym.

Na dobro książki można zapisać udaną na ogół beletryzację, wyrażającą się częstym wprowadzaniem dialogów, naturalnie nie autentycznych, ale... prawdopodobnych. A to w tym wypadku całkowicie wystarcza. Następnie — humor podany w formie nie rubasznej, lecz żartobliwej. („Wprawdzie księż Józef nosił już w zanadrzu nieśmiertelność i wszelkie honor Polaków, ale ciocia Branicka o tym nie wiedziała i nadal snuła rozkoszne projekty mariażu z jakąś dziedziczką korony”).

No i odrobina sentymentalizmu. Zwłaszcza, w odniesieniu do Izabelli Branickiej

secundo voto Mokronoskiej, zwłaszcza w przedstawieniu jej uczucia do kochanka, który został drugim mężem, zwłaszcza w opisie śmierci — w ostatnim szkicu książki („Gwiazdy nad Wersalem Podlaskim”).

W sumie mimo pewnych zastrzeżeń trzeba przyznać, że otrzymujemy rzecz na pewno wartościową \*).

Edward Martuszeński

\*) Hanna Muszyńska-Hoffmannowa „W Wersalu Podlaskim”, Pojezierze, Olsztyn, 1981, str. 134, cena 30 zł. (Kilkanaście reprodukcji starych szychów i bibliografial).

LESZEK MOCZULSKI

## Początek obozowej ballady

Utyka na lewą i prawą nogę

ukrywa swój cały dobytek  
marny dobytek z powodu choroby  
A co komu z takich rąk  
które potrafią tylko podnieść

łyżkę zupy dla kogo użyteczny taki majątek

Przyjdą zagrają by pokazana była  
by pokazana była sprawność nóg

## Na marginesie skandalu

Bo tak niewątpliwie określić trzeba spór między Kapuścińskim a Drozdowskim na łamach „Polityki”.

Spór ten wykroczył już poza ramy praktyk dwu handełso- i bezładnej wyspie odprzedających sobie jedną kożę (żeby nie umrzeć z głodu), jak to bodaj Koźniewski określił kiedyś trafnie genozę kontrowersji literackich, wykroczył poza zwykłe ramy przyzwoitości nie tylko pisarskiej.

Zastanawiać się można, czy uogólnienia redakcji „Polityki” dotyczące istnienia parasolów i arystokratów pióra są słuszne. Faktem jednak jest, że obecna granica między dziennikarzem a literatem zawodowym zaciera się coraz bardziej i dawne kryteria różnicujące te dwa zawody coraz częściej przestają być miodrodajne.

Ale spór ten niepokoi jeszcze z innych względów, których ani redakcja, ani kontrahenci być może nie wzięli pod rozwagę. Chodzi mianowicie o sto-

## KRONIKA KULTURALNA

PO KILKULETNIJ przerwie znów prapremiera w białostockim teatrze. Ostatnią była adaptacja „Faraona”, dokonana przez Piotrowskiego. Pokazano sztukę Ireny Szeliği „Cmentarz wronich głów”, wystawiając ją w Białymstoku pod tytułem „Trudna młodość”. Nawiasem mówiąc zmiana tytułu chyba niezbyt szczęśliwa ze względu na liczne skojarzenia, np. „Trudna miłość”. Utwór ten nagrodzony został na konkursie literackim w Krakowie. Tematem jego — młodość współczesna (dwie pary) i dorosłość (rodzice, krewni, znajomi), widziani oczyma młodości. Słaba konstrukcja, niezły dialog. Sztuka ta wystawiona została bardzo starannie w inscenizacji i reżyserii Zygalskiego i ciekawej oprawie scenograficznej Ponińskiej. Zobaczyć ten spektakl zapewne będzie każdy, a szczególnie młodzież dorastająca.

PLASTYCY białostoccy przygotowują się do dorocznego wystawy Oddziału ZPAP-u. Zakwalifikowano ponad sto prac trzydziestu członków Związku. Prace rozmieszczone zostaną w dwu salach Muzeum Regionalnego. Przewidywany termin wystawy — grudzień br. (bliższego określenia terminu nie udało nam się zdobyć).

sunek ogółu czytelników do słowa drukowanego. Niektórzy twierdzą, że jest on z zasady balwochwalczy, nie w tym jednak rzecz, lecz w powadze i zaufaniu, jakie ma przeciętny czytelnik do ludzi pióra.

A tu okazuje się nagle i publicznie się ogłasza, że pan taki a taki jest... kleptomaniem. Nawet niezależnie od faktu, że Drozdowski piastuje urząd zastępcy redaktora naczelnego „Współczesności”, w wielu umysłach musi powstać jakiś odruch samoobrony każący traktować z dużym dystansem to, w co przedtem się wierzyło bez zastrzeżeń czy choćby z pewnymi zastrzeżeniami.

Spór Drozdowski — Kapuściński będzie w taki czy inny sposób rozwiązany. Obawiać się jednak trzeba, że jego uboczne efekty pozostaną.

Aleksander Gabrusiewicz

Pozwoliłem sobie na tytuł raczej dziennikarski. Niewątpliwie jest on wynikiem specjalnie ożywionej atmosfery, powiem pomyślnych i ciepłych wiatrów, jakie wyczuliśmy w Lublinie w dniu 24 listopada w gabinecie dyrektora Muzeum w Lublinie, gdzie jako przedstawiciele muzealnictwa czterech województw „B.P.B.” radziliśmy nad formami współpracy.

Alé — właśnie w tym miejscu — niejedni zamyślił się: co to znaczy „Cztery województwa B.P.B.”?

Z miejsca wyjaśniam; Bylej Polski „B”. Bo owe województwa chociaż jeszcze niezupełnie podeślagnęły się do województwa „Polski A”, to je ścigają i na pewnie wkrótce doślagną. Ale wracam do planów współpracy tych województw na płaszczyźnie kulturalnej, a specjalnie w dziedzinie muzealnictwa. Pozornie mogłoby się wyda-

zać okręgowe, a z kolei regionalne badają te sztuczne zespoły z wiarą, że tylko to je obowiązuje. A przecież pierwotna gromada kawalczkami tkwi również poza różnymi granicami administracyjnymi, które badacze boją się przekroczyć, jak kreskę zrobioną zaczarowaną kredą.

I oto w gabinecie dyrektora Muzeum Okręgowego w Lublinie zostały zaakceptowane „rewolucyjne” (zresztą wcale nie nowe, raczej odświeżone) hasła: pracownicy naukowci czterech muzeów, a szczególnie archeologowie, etnografowie, historycy, nie będą uznawali granic wojewódzkich, ale pójdą za śladami kulturowymi dotąd, dokąd one sięgają. Co w praktyce mniej więcej będzie wyglądało tak:

Weźmy wielką i o zdecydowanym charakterze grupę etnograficzną Laso-

## Wizja szerszej wody

FRANCISZEK KOTULA (Rzeszów)

wać, że to odcinek bardzo wąski, ograniczający się do — co zresztą zostało jednomyślnie postanowione — wzajemnych odwiedzin, celem zapoznania się ze sposobami ekspozycji u sąsiadów, do wymiany wystaw czasowych czy objazdowych, prelegentów itp. W istocie nie tylko możliwości, ale pałace potrzeby są i szersze i głębsze.

Działacze, a szczególnie naukowci badacze z tzw. różnych „szczebli”, bardzo często zasugerowani są magicznymi liniami podziałów administracyjnych, które nieraz są... jakże przypadkowe. Co więcej — zmieniają się. Ot, województwa nie było — np. rzeszowskiego — i jest, powiat czy gromada były, a oto ich nie ma, a równocześnie obszary historyczno-kulturowe, które wytworzyły się jeszcze kiedyś w mrokach średniowiecza, trwają.

Człowiek najlepiej pamięta czasy swojej młodości, gromady czy zespoły ludzkie również. Celem muzeów zaś jest nie co innego, jak zachowywać różne formy i wartości, jakie wytworzyła „przeszłość” tj. różne fazy rozwojowe. Biorąc rzecz analogicznie do pamięci człowieka, najsilniejsze są formy i wartości najstarsze, owe plemienne czy rodowe, które do dziś pozostawiły ślady w postaci regionów etnograficznych.

Nie tu miejsce, by wglębiać się w te problemy, wystarczy stwierdzić, że są.

Weźmy dla przykładu dwa województwa, rzeszowskie i kieleckie; z tego kawalek, z tamtego ociupinkę i jest nowa forma, nowy zespół ludzki. Mu-

wisków. Nazwa ta nie jest terminem roboczym, ale w całym tego słowa znaczeniu etnonimem. Nie jest to jednak grupa pierwotna, lecz wtórna, kresowa, którą ukształtowały specjalne warunki, jakimi była Sandomierska Puszcza. A ta rozciągała się nie tylko na terytorium dzisiejszego województwa rzeszowskiego, ale i na wschód do dolnego Sanu, które to obszary leżą dziś w województwie lubelskim. Lasowików nie poróżniły ani dawne granice wo ewództw, ani granica austriacko-rosyjska, ani nawet późniejsze podziały administracyjne. Dopiero na gwałt chcą ich podzielić... niektórzy pracownicy naukowci. Wydali nawet zeszyt w Atlasie Polskich Strojów Ludowych, pod nazwą: „Strój bilgorajsko-tarnobrodzki”. A przecież to jest strój lasowiacki, wspólny całej grupie. To znowu jeden z starszych badaczy pewne elementy stroju lasowiackiego wciągnął do stroju sandomierskiego, wględnie odwrotnie.

Otóż, w wyniku obrad i uchwał zjazdu muzeologów w Lublinie w dniu 24 listopada — z województw „B.P.B.” — postanowiono, niezależnie od innych form współpracy, prowadzić wspólne badania na terenach etnograficznych, które zostały pocięte granicami administracyjnymi. Co znów, przelożywszy na język praktyczny, wyglądałoby następująco (a dotyczyło badaczy różnych dyscyplin, chociaż najczęściej operują problemami mnie najbliższymi tj. etnograficznymi):

(Dokończenie na str. 13)







